

NICHOLAS
SPARKS

PRAWDZIWI
CUD



1

Jeremy Marsh siedział razem z pozostałymi widzami w studiu, mając wrażenie, że wyjątkowo wyróżnia się z tłumu. Był jednym z zaledwie kilku mężczyzn, którzy uczestniczyli w programie na żywo tego grudniowego popołudnia. Ubrany oczywiście na czarno, o ciemnych kędzierzawych włosach, jasnoniebieskich oczach i z modnym kilkudniowym zarostem w każdym calu wyglądał na nowojorczyka, którym był. Chociaż przyglądał się uważnie gościowi na scenie, udawało mu się obserwować ukradkiem atrakcyjną blondynkę, która zajmowała miejsce trzy rzędy wyżej. Jego zawód często wymagał podzielności uwagi. Był dziennikarzem śledczym, poszukującym tematu, a blondynka po prostu siedziała na widowni wśród innych osób. Mimo to jako zawodowy obserwator nie mógł nie zauważyć, jak kapitalnie wyglądała w dżinsach i trykotowej bluzce z odkrytymi plecami i ramionami. Mówiąc językiem dziennikarskim, i o to chodzi.

Odwróciwszy od niej wzrok, spróbował z powrotem skupić uwagę na gościu programu. Facet sprawiał co najmniej dziwaczne wrażenie. Jeremy stwierdził, że w ostrym świetle reflektorów w studiu telewizyjnym mężczyzna, utrzymujący, że słyszy głosy zza grobu, wygląda, jak gdyby cierpiał na

zaparcie. Przybrał ton fałszywej zażyłości, zachowując się, jakby wszyscy w studiu byli jego rodziną lub bliskimi przyjaciółmi. O dziwo, chyba ogromna większość oniemiałych z wrażenia widzów — łącznie z atrakcyjną blondynką oraz kobietą, do której się zwracał — uważała go za istny dar niebios. Co ma sens, pomyślał Jeremy, ponieważ tam wędrują nasi utraceni bliscy. Duchy zza grobu zawsze otaczała jasna anielska poświata, emanował z nich wielki spokój. Jeremy nigdy nie słyszał, by medium przekazywało wiadomości z innego, gorętszego miejsca. Nieżyjący bliski nigdy nie wspominał, że, na przykład, pieką go na rożnie lub gotują w kotle wypełnionym olejem silnikowym. Jednakże Jeremy zdawał sobie sprawę, że jest cynikiem. Poza tym musiał przyznać, że jest to całkiem niezłe przedstawienie. Timothy Clausen był dobry — znacznie lepszy od większości szarlatanów, o których Jeremy pisał od wielu lat.

— Wiem, że to trudne — powiedział do mikrofonu Clausen — ale Frank przekazuje ci za moim pośrednictwem, że nadszedł czas, byś pozwoliła mu odejść.

Kobieta, do której mówił z tak ostentacyjną empatią, wyglądała tak, jakby miała za chwilę zemdleć. Była po pięćdziesiątce, miała na sobie bluzkę w zielone paski, jej kędzierzawe rude włosy sterczały nieposłusznie we wszystkie strony. Tak mocno zaciskała dłonie, które trzymała na wysokości piersi, że aż jej palce zbiełały.

Clausen umilkł i przycisnął dłoń do czoła, wsłuchując się znowu w głosy z „tamtego świata”, jak to określił. W ciszy widzowie zgodnie pochylili się do przodu. Wszyscy wiedzieli, co teraz nastąpi. Była to już trzecia osoba spośród publiczności, którą wybrał dzisiaj Clausen. Nic dziwnego, że był jedynym gościem występującym w popularnym talk-show.

— Pamiętasz list, który ci przysłał? — spytał. — Przed śmiercią?

Kobieta z trudem chwyciła powietrze. Członek ekipy telewizyjnej przysunął mikrofon jeszcze bliżej jej ust, by wszyscy telewidzowie mogli ją wyraźnie słyszeć.

— Tak, ale skąd pan może wiedzieć o...? — wyjąkała.

Clausen nie pozwolił jej dokończyć.

— Pamiętasz jego treść? — spytał.

— Tak — wychrypiała kobieta.

Skinał głową, jak gdyby sam przeczytał list.

— Było tam o przebaczeniu, prawda?

Siedząca na kanapie gospodyni programu, najpopularniejszego popołudniowego talk-show w Ameryce, przenosiła spojrzenie z Clausena na kobietę i z powrotem. Wyraźnie była zdumiona i jednocześnie zadowolona. Występy mediów podnosiły zawsze oglądalność programu.

Gdy kobieta na widowni skinęła twierdząco głową, Jeremy zauważył, że rozmazany tusz zaczął spływać jej po policzkach. Kamery zrobiły najazd na twarz, by pokazać to wyraźniej. Telewizja dzienna wykorzystująca w pełni swoje dramatyczne możliwości.

— Ale skąd pan może...? — powtórzyła kobieta.

— On mówi też o twojej siostrze — powiedział cicho Clausen. — Nie tylko o sobie.

Kobieta wpatrywała się w niego jak osłupiała.

— Twojej siostrze Ellen — dodał. Na te słowa kobieta wybuchnęła w końcu chrapliwym płaczem. Łzy trysnęły jej z oczu jak z automatycznego spryskiwacza. Clausen — opalony i zadbany, w czarnym garniturze, gładko uczesany, tak że każdy włoszek był na swoim miejscu — kiwał przez cały czas głową jak jedna z tych maskotek, które umieszcza się na desce rozdzielczej. Widzowie gapili się na kobietę w kompletnej ciszy. — Frank zostawił ci coś jeszcze, prawda? Coś z waszej przeszłości.

Mimo że w studiu telewizyjnym panowała wysoka temperatura, spowodowana ciepłem wydzielanym przez reflek-

tory, kobieta wyraźnie zbladła. W rogu, poza widoczną częścią studia, Jeremy dostrzegł producenta, który podniósł do góry palec, kręcąc nim w kółko. Zbliżała się przerwa na reklamy. Clausen niemal niezauważalnie rzucił okiem w tamtą stronę. Chyba nikt poza Jeremym nie zwrócił na to uwagi i dziennikarz zastanawiał się często, dlaczego widzowie nigdy nie pytają, jak to się dzieje, że kontakt ze światem duchów daje się tak idealnie zgrać z czasem nadawania reklam.

— Nikt inny nie mógł o tym wiedzieć — mówił dalej Clausen. — To pewnego rodzaju klucz, mam rację?

Kobieta potwierdziła skinieniem głowy, nie przestając szlochać.

— Nigdy nie przypuszczałaś, że go zachowa, prawda?

W porządku, oto rozstrzygający argument. Za chwilę zyska kolejnego żarliwego wyznawcę.

— To klucz od pokoju hotelowego, w którym spędziliście miesiąc miodowy. Schował go tam po to, byś... kiedy go znajdziesz... przypomniała sobie szczęśliwe chwile, które razem przeżyliście. Nie chce, byś wspominała go z bólem, ponieważ cię kocha.

— Oooohchchchch! — wykrzyknęła kobieta.

A może jęknęła. Jeremy siedział zbyt daleko, żeby być całkiem pewny, ponieważ jej krzyk zagłuszyły nagle entuzjastyczne oklaski. W tym samym momencie zabrano mikrofon. Kamery odjechały. Jej pięć minut minęło. Kobieta osunęła się bezwładnie w swoim fotelu. Na znak reżysera gospodyni programu wstała z kanapki, zwracając się twarzą do kamery.

— Pamiętajcie państwo, że to, co oglądacie, jest autentyczne. Żadna z tych osób nigdy nie spotkała Timothy'ego Clausena. — Uśmiechnęła się. — Zobaczmy się po przerwie, by przeprowadzić jeszcze jeden eksperyment.

Przy gromkich oklaskach przerwano program, by wyemitować reklamy. Jeremy rozsiadł się wygodnie w swoim fotelu.

Jako dziennikarz śledczy, znany ze swego zainteresowania naukami ścisłymi, zajmował się pisaniem właśnie o tego rodzaju ludziach. Na ogół czerpał przyjemność ze swojej pracy i był z niej dumny, uważając ją za wartościową służbę publiczną w zawodzie tak wyjątkowym, że jego prawa zostały wyliczone w pierwszej poprawce do konstytucji Stanów Zjednoczonych. Miał swoją stałą rubrykę w „Scientific American”, dla której przeprowadzał wywiady z laureatami Nagrody Nobla, i wyjaśniał w sposób zrozumiały dla laika teorie Stephena Hawkinga oraz Einsteina. Kiedyś przypisano mu wywołanie fali protestów opinii publicznej, co poskutkowało wycofaniem z rynku przez Federalny Urząd Żywności i Leków niebezpiecznego leku antydepresyjnego. Pisał obszernie o projekcie sondy międzyplanetarnej Cassini, o wadzie układu optycznego w teleskopie kosmicznym Hubble’a, a także jako jeden z pierwszych publicznie potępił eksperyment zimnej fuzji podczas reakcji termojądrowej w Utah, nazywając go oszustem.

Niestety, choć wszystko to brzmi imponująco, prowadzenie rubryki nie przynosiło mu zbyt wysokich dochodów. To z pracy na zlecenie opłacał swoje rachunki, i jak wszyscy wolni strzelcy kombinował, jak znaleźć tematy, które zainteresują wydawców czasopism lub gazet. Sfera, którą się zajmował, poszerzyła się o „wszystkie rzeczy niezwykle” i w ciągu minionych piętnastu lat zbierał materiały i sprawdzał jasnowidzów, uzdrowicieli i media. Demaskował oszustwa, mistyfikacje i fałszerstwa. Oglądał nawiedzone domy, tropił tajemnicze stwory, szukał praźródła miejskich legend. Sceptyczny z natury, miał również rzadką umiejętność wyjaśniania trudnych koncepcji naukowych w sposób przystępny dla przeciętnego czytelnika i jego artykuły ukazywały się w setkach gazet i czasopism na całym świecie. Uważał, że naukowe obalanie pewnych mitów jest szlachetne i ważne, nawet jeśli ludzie nie zawsze to doceniają. Częstość w listach, które

otrzymywał po opublikowaniu swoich niezależnych artykułów, roilo się od epitetów w rodzaju „idiota”, „debil” czy „rządowy fagas”, które to określenie lubił najbardziej.

Jeremy zdawał sobie jasno sprawę, że dziennikarstwo śledcze jest niewdzięcznym zajęciem.

Rozmyślając o tym ze zmarszczonymi brwiami, przyglądał się rozmawiającym z ożywieniem widzom, ciekaw, kogo Clausen teraz wybierze. Zerknął jeszcze raz ukradkiem na blondynkę, która poprawiała szminkę w małym lusterku.

Jeremy wiedział już, że osoby wybrane przez Clausena nie są częścią całej tej komedii, mimo że jego występ zapowiedziano dużo wcześniej i ludzie bili się o bilety, by wziąć udział w programie na żywo. Co oczywiście oznaczało, że widownię wypełniali wierzący w życie po śmierci. Dla nich Clausen był wiarygodny. Skąd mógłby w przeciwnym razie wiedzieć o tak osobistych sprawach dotyczących zupełnie obcych ludzi? Wyłącznie od duchów. Ale podobnie jak w wypadku każdego dobrego prestidigitatora, który zna swój repertuar na wyrywki, iluzja jest jedynie iluzją, i tuż przed programem Jeremy nie tylko rozgryzł sposób, w jaki Clausenowi udaje się robić to, co robi, lecz również był w posiadaniu zdjęć stanowiących dowód, że ten ostatni dopuścił się mistyfikacji, udając medium.

Zdemaskowanie Clausena byłoby jak dotąd największym osiągnięciem Jeremy'ego, a facet dostałby za swoje. Clausen jest najgorszym rodzajem szarlatana. Mimo to, jako realista, Jeremy był świadom, że taki temat trafia się rzadko i chciał jak najlepiej go wykorzystać. W końcu Clausen zaczynał zyskiwać ogromną sławę, a w Ameryce rozgłos liczy się najbardziej. Choć Jeremy zdawał sobie sprawę, że szanse są właściwie równe zeru, snuł fantazje o tym, co mogłoby się stać, gdyby Clausen wybrał teraz jego. Nie liczył na to. Taki wybór był równie prawdopodobny jak udane obstawienie

trójki na wyścigach w Santa Anita, lecz Jeremy wiedział, że nawet bez tego ma dobry temat. Ale dobry temat często dzieli od wyjątkowego zwykle zbiegi okoliczności, i gdy skończyła się przerwa na reklamy, Jeremy niespodziewanie poczuł nikłą, niczym nieusprawiedliwioną nadzieję, że jakimś cudem Clausen wybierze jego.

I, jak gdyby sam Bóg również nie był zbyt zachwycony poczynaniami Clausena, cud się właśnie stał.

Trzy tygodnie później na Manhattanie nastąpiła zima. Od Kanady nasunął się chłodny front i temperatura spadła nieco poniżej zera, pióropusze pary unosiły się z kratek kanalizacyjnych, po czym opadały na oblodzone chodniki. Najwyraźniej nikomu to nie przeszkadzało. Odporni nowojorczyki demonstrowali zwykłą obojętność na wszelkie kaprysy pogodowe i w żadnym wypadku nie zamierzali marnować piątkowych wieczorów. Ludzie pracowali zbyt ciężko przez cały tydzień, by nie wypuścić się gdzieś, zwłaszcza jeśli mają powód do świętowania. Nate Johnson i Alvin Bernstein oblewali już od godziny nie byle jaką okazję z ponad dwudziestoma przyjaciółmi i dziennikarzami — kilkoma z „Scientific American” — którzy zebrali się, by uczcić sukces Jeremy’ego. Większość z nich była już na rauszu i bawiła się wprost szampańsko, głównie dlatego, że dziennikarze mają ograniczone możliwości finansowe, a tym razem stawał Nate.

Nate był agentem Jeremy’ego. Alvin, kamerzysta pracujący na zlecenie, był jego najlepszym przyjacielem. Spotkali się w modnym barze na Upper West Side, by opić występ Jeremy’ego w *Primetime Live* na kanale ABC. Reklamy tego programu emitowano przez cały tydzień — większość z nich przedstawiała głównie Jeremy’ego oraz zapowiedź demaskatorskiego programu — i do biura Nate’a napływały z całego kraju liczne prośby o wywiady. Wcześniej tego samego

popołudnia zadzwoniono z magazynu „People” i termin wywiadu został ustalony na najbliższy poniedziałek rano.

Nie wystarczyło czasu na zorganizowanie osobnej sali, ale nikt się tym nie przejmował. Tłoczny pub, z długim granitowym barem i efektownym oświetleniem, był ulubionym miejscem spotkań japiszonów. O ile dziennikarze ze „Scientific American” mieli na sobie na ogół sportowe tweedowe marynarki z klapkami na kieszeniach i skupili się w jednym rogu, rozmawiając o fotonach, o tyle większość innych klientów wyglądała tak, jak gdyby wstąpili tu po pracy na Wall Street czy na Madison Avenue — marynarki od włoskich garniturów wisały na oparciach krzeseł, krawaty od Hermèsa rozluźnione, mężczyźni wydawali się zainteresowani wyłącznie gapieniem się na obecne tam również kobiety, afiszując się jednocześnie ze swoimi roleksami. Kobiety, które wpadły do baru prosto z pracy w mediach lub reklamie, ubrane w ciuchy od znanych projektantów mody i w buty na nieprawdopodobnie wysokich obcasach, sęczyły martini, udając, że nie zwracają uwagi na mężczyzn. Jeremy także zawiesił oko na wysokiej rudowłosej, stojącej w drugim końcu baru, która chyba też spoglądała w jego stronę. Zastanawiał się, czy poznała go z telewizyjnych reklam, czy po prostu szukała towarzystwa. Odwróciła się, pozornie niezainteresowana, po czym znowu zerknęła w jego stronę. Gdy tym razem zatrzymała na nim spojrzenie nieco dłużej, Jeremy znacząco podniósł do góry kieliszek.

— Daj spokój, Jeremy, skup się — powiedział Nate, trącając go łokciem. — Jesteś w telewizji! Nie chcesz popatrzyć, jak ci poszło?

Jeremy oderwał wzrok od rudowłosej. Spojrzał na ekran — siedział tam naprzeciwko Diane Sawyer. Dziwne, pomyślał, zupełnie jak gdybym był w dwóch miejscach naraz. W dalszym ciągu wydawało mu się to nierealne. Nic podczas

ostatnich dwóch tygodni nie wydawało mu się realne, mimo że tyle lat pracował w mediach.

Na ekranie Diane opisywała go jako „najbardziej cenionego amerykańskiego dziennikarza naukowego”. Jeremy czuł wewnętrzną satysfakcję, ponieważ temat nie tylko fantastycznie wypalił, lecz, co ważniejsze, jego agent Nate rozmawiał już nawet z *Primetime Live* w sprawie stałego programu, który miałby prowadzić Jeremy, z ewentualnością dodatkowych nagrań dla *Good Morning America*. Aczkolwiek wielu dziennikarzy utrzymywało, że telewizja jest mniej wiarygodna od innych poważniejszych środków przekazu, większość z nich w głębi ducha traktowało ją jak Świętego Graala, przez co rozumieli duże pieniądze. Pomimo ogólnych gratulacji otaczała go atmosfera zawiści, uczucia tak obcego Jeremy’emu jak loty kosmiczne. W końcu dziennikarze tacy jak on nie znajdowali się na szczycie hierarchii w mediach — aż do dnia dzisiejszego.

— Czy ona nazwała cię właśnie „najbardziej cenionym”? — spytał Alvin. — Pisujesz o Wielkiej Stopie i mitycznej Atlantydzie!

— Cśś — syknął Nate, nie spuszczać wzroku z ekranu telewizora. — Próbuję coś usłyszeć. To może być ważne dla kariery Jeremy’ego. — Jako jego agent, Nate zawsze popierał wydarzenia, które „mogą być ważne dla kariery Jeremy’ego”, z tej prostej przyczyny, że praca na zlecenia wcale nie była taka znów lukratywna. Wiele lat temu, w początkach działalności Nate’a, Jeremy wystąpił z propozycją książki i od tamtego czasu pracowali razem, po prostu dlatego, że się zaprzyjaźnili.

— Nieważne — powiedział Alvin, lekceważąc naganę w głosie Nate’a.

Tymczasem na ekranie w tle za Diane Sawyer i Jeremym przemykały końcowe chwile występu Jeremy’ego w pro-

gramie telewizji dziennej, kiedy to udawał mężczyznę oplakującego śmierć brata w dzieciństwie, z którego duchem Clausen rzekomo nawiązał kontakt.

— On jest ze mną — słycać było głos Clausena. — Chce, byś pozwolił mu odejść, Thad. — Kamera przesunęła się, pokazując Jeremy'ego z wykrzywioną twarzą, udającego udreżonego gościa. Na drugim planie Clausen kiwał głową z miną pełną współczucia, nasuwającą niektórym wrażenie, że facet cierpi na zaparcie.

— Twoja matka nie zmieniła niczego w jego pokoju... w waszym wspólnym pokoju. Uparła się, by pozostał taki, jaki był za życia twojego brata, a ty musiałeś tam sypiać — mówił dalej Clausen.

— Tak — wykrztusił Jeremy.

— Ale byłeś przerażony i w gniewie wzięłeś bardzo osobisty przedmiot należący do brata, po czym zakopałeś go na podwórku na tyłach domu.

— Tak — powtórzył tylko Jeremy, jakby wzruszenie nie pozwalało mu mówić.

— Jego aparat na zęby.

— Oooooochchchch! — wykrzyknął Jeremy, zasłaniając twarz dłońmi.

— On cię kocha, lecz powinieneś zrozumieć, że odpoczywa teraz w pokoju. Nie żywi do ciebie urazy...

— Oooooochchchch! — jęknął znowu Jeremy, krzywiąc się jeszcze bardziej.

Siedzący w barze Nate przyglądał się migawkom w milczącym skupieniu. Alvin natomiast śmiał się głośno, wznosząc toast piwem.

— Dajcie temu facetowi Oscara! — zawołał.

— To było raczej przekonujące, prawda? — rzekł Jeremy, uśmiechając się szeroko.

— Hej, wy tam, mówiłem serio — warknął Nate, nie kryjąc rozdrażnienia. — Gadajcie sobie podczas reklam.

— Nieważne — powiedział znowu Alvin. „Nieważne” zawsze było jego ulubionym słowem.

W *Primetime Live* tło ściemniało i jeszcze raz najechano kamerą na Diane Sawyer i Jeremy’ego, siedzących naprzeciwko siebie.

— A więc nic z tego, co powiedział Timothy Clausen, nie było prawdą? — spytała Diane.

— Ani jedno słowo — odparł Jeremy. — Jak wiesz, nie mam na imię Thad, a moich pięciu braci na szczęście żyje i cieszy się dobrym zdrowiem.

Diane trzymała długopis nad blokiem papieru, jak gdyby zamierzała robić notatki.

— Wobec tego jak Clausen to robi?

— No cóż, Diane... — zaczął Jeremy.

Bacznie oglądający program Alvin uniósł przekłute koltczykami brwi, pochylając się do Jeremy’ego.

— Powiedziałeś do niej „Diane”? Jakbyście byli *przyjaciółmi*?

— Uspokój się, do licha! — syknął coraz bardziej rozdrażniony Nate.

Na ekranie Jeremy mówił dalej:

— To, co robi Clausen, jest zwyczajnie odmianą tego, co robią ludzie od setek lat. Przede wszystkim facet jest dobrym obserwatorem, mistrzem luźnych skojarzeń o dużym ładunku emocjonalnym, reagującym jak barometr na sygnały widzów.

— Tak, ale był taki konkretny. Nie tylko w twoim przypadku, lecz również wobec innych gości. Znał imiona. Jak on to robi?

Jeremy wzruszył ramionami.

— Słyszał, jak mówiłem o moim bracie Marcusie. Po prostu wymyśliłem go i opowiadałem o nim głośno przed programem.

— Ale jak dotarło to do uszu Clausena?

— Oszuści w rodzaju Clausena są znani z tego, że stosują

najrozmaitsze sztuczki. Są to na przykład ukryte mikrofony albo płatki „słuchacze”, którzy krążą po poczekalni przed programem. Zanim usiadłem na widowni, celowo rozmawiałem z wieloma innymi widzami, obserwując, czy któryś z nich nie okazuje większego zainteresowania moją opowieścią. Jak należało się spodziewać, pewnego mężczyznę wyraźnie zaintrygowała bardziej niż innych.

Za obojgiem rozmówców ukazało się teraz powiększone zdjęcie, które Jeremy zrobił miniaturowym aparatem, ukrytym w zegarku, supernowoczesną szpiegowską zabawką, której kosztem niezwłocznie obciążył „Scientific American”. Jeremy kochał supernowoczesne zabawki niemal tak samo jak obciążanie innych ich kosztami.

— Na co tutaj patrzymy? — spytała Diane.

— Ten mężczyzna kręcił się wśród widzów, udając gościa z Peorii. Zrobiłem to zdjęcie tuż przed programem, podczas naszej rozmowy. Poproszę o dalsze powiększenie.

Spełniono jego prośbę i Jeremy odwrócił się w stronę fotografii.

— Widzisz ten mały znaczek USA w jego klapie? To nie tylko ozdoba. W rzeczywistości jest to mikroskopijny nadajnik zestrojony z urządzeniem nagrywającym za kulisami.

— Skąd wiesz? — spytała Diane, marszcząc brwi.

— A stąd — odparł Jeremy — że przypadkiem mam identyczny.

Na sygnał sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął taki sam znaczek USA, przyczepiony do długiego nitkowatego przewodu oraz nadajnika.

— Ten konkretny model został wyprodukowany w Izraelu — słysząc było głos Jeremy’ego, gdy tymczasem kamera pokazywała gadżet w zbliżeniu — i jest bardzo ekskluzywny. Słyszałem, że używają go agenci CIA, lecz oczywiście nie mogę tego potwierdzić. Mogę natomiast zapewnić cię, że to

niezwykle nowoczesna technika... ten mały mikrofon potrafi wychwycić rozmowy z drugiego końca zatłoczonej, hałaśliwej sali, a przy odpowiednim systemie filtracyjnym można je nawet wyizolować.

Diane oglądała znaczek wyraźnie zafascynowana.

— I jesteś pewien, że był to naprawdę mikrofon, a nie zwykły znaczek?

— Cóż, jak wiesz, od dawna już badałem przeszłość Clausena i tydzień po programie udało mi się zdobyć więcej zdjęć.

Na ekranie ukazała się nowa fotografia. Choć była nieco ziarnista, można było na niej rozpoznać tego samego mężczyznę, który miał wpięty w klapę znaczek USA.

— Ta fotografia została wykonana na Florydzie, przed gabinetem Clausena. Widzisz mężczyznę, który wchodzi do środka. Nazywa się Rex Moore i faktycznie współpracuje z Clausenem. Jest jego pomocnikiem od dwóch lat.

— Oooohchchch! — wykrzyknął Alvin, a reszta nagrania utonęła w głośnych okrzykach, wydawanych przez zadowolonych czy też nie kolegów. Darmowy alkohol zdziałał cuda i gdy program się skończył, Jeremy został zasypany gratulacjami.

— Byłeś fantastyczny — powiedział Nate. Czterdziesto-trzyletni Nate, niski i łysawy, miał tendencję do noszenia przyciasnych w pasie garniturów. Nieważne, ten człowiek wprost tryskał energią i jak większość agentów był pozytywnie naładowany żywiołowym optymizmem.

— Dzięki — rzekł Jeremy, dopijając resztkę piwa.

— Ta historia przyda się w twojej przyszłej karierze — mówił dalej Nate. — To twój bilet do regularnych występów w telewizji. Koniec z rozpaczliwą walką o kiepskie zlecenia dla czasopism, koniec z polowaniem na tematy z UFO. Zawsze twierdziłem, że z twoją prezencją jesteś stworzony do telewizji.

— Zawsze tak twierdziłeś — przytaknął Jeremy, wywracając oczy jak ktoś, kto recytuje często zadawaną lekcję.

— Mówię serio. Producenci *Primetime Live* i GMA dzwonią bez przerwy i pertraktują w sprawie twojego stałego udziału w ich programach. Wiesz, co oznacza dla ciebie ta „wiadomość z ostatniej chwili ze świata nauki” i związany z nią szum. Duży krok ku pracy reportera działu naukowego.

— Jestem dziennikarzem — prychnął Jeremy — nie reporterem.

— Nieważne — powiedział Nate, czyniąc ruch, jak gdyby odganiał muchę. — Nie chcę się powtarzać, ale z twoją prezencją jesteś stworzony do telewizji.

— Muszę przyznać Nate’owi rację — dodał Alvin, puszczając oko do Jeremy’ego. — W przeciwnym razie jak mógłbyś cieszyć się większym ode mnie powodzeniem u pań, mając tak nijaką osobowość? — Od lat Alvin i Jeremy często wybierali się razem do rozmaitych barów na podryw.

Jeremy parsknął śmiechem. Alvin Bernstein, którego nazwisko przywoływało obraz starannie ostrzyżonego księgowego w okularach — jednego z niezliczonych profesjonalistów, noszących do pracy buty Florsheima oraz aktówki — zupełnie nie wyglądał jak taki właśnie Alvin Bernstein. Będąc nastolatkiem, zobaczył film *Eddie Murphy: Delirious* i postanowił uznać skórzaną odzież za swój styl, choć ta garderoba szokowała jego ojca Melvina, zwolennika obuwia Florsheima oraz aktówek. Na szczęście skóra pasowała do tatuaży, które Alvin uważał za odzwierciedlenie jego jedyne w swoim rodzaju zmysłu estetycznego. Ów jedyny w swoim rodzaju zmysł estetyczny można było oglądać na obydwu ramionach Alvina, ciągnący się aż do łopatek. Kropkę nad „i” stanowiły przekłute w wielu miejscach uszy.

— A więc zamierzasz pojechać na Południe, żeby zbadać

tamtą historię o duchach? — naciskał Nate. Jeremy niemal widział trybiki obracające się w jego mózgu. — Oczywiście po wywiadzie dla magazynu „People”.

Jeremy odgarnął z czoła niesforny kosmyk i dał znak barmanowi, by podał mu jeszcze jedno piwo.

— Tak, chyba tak. *Primetime* lub nie *Primetime*, ale ja mam wciąż rachunki do zapłacenia i pomyślałem, że mógłbym wykorzystać temat duchów w mojej rubryce.

— Ale będziemy w kontakcie, dobrze? Nie tak jak wtedy, gdy rozpracowywałeś w ukryciu sektę Sprawiedliwi i Święci? — Nate nawiązywał do artykułu o kulcie religijnym dla „Vanity Fair”. Wówczas Jeremy zerwał niemal wszelkie kontakty, co trwało aż trzy miesiące.

— Będziemy, będziemy — obiecał Jeremy. — To zupełnie inna historia. Powinienem spędzić tam nie więcej czasu niż jakiś tydzień. „Tajemnicze światła na cmentarzu”. Żadna sprawa.

— Hej, nie potrzebujesz przypadkiem kamerzysty? — wtrącił Alvin.

Jeremy podniósł na niego wzrok.

— Dlaczego pytasz? Chcesz pojechać?

— Jak cholera. Wybiorę się zimą na Południe, może spotkam miłą południową ślicznotkę, a ty będziesz płacił rachunki. Słyszałem, że tamtejsze kobiety doprowadzają człowieka do szaleństwa, ale w tym dobrym sensie. To niczym egzotyczne wakacje.

— A nie miałeś kręcić w przyszłym tygodniu dla serialu *Prawo i porządek*?

Alvin przy całym swoim osobliwym wyglądzie miał nie-naganną reputację, a na jego usługi istniało zawsze duże zapotrzebowanie.

— Tak, ale pod koniec tygodnia będę wolny — odparł. — I posłuchaj, jeśli traktujesz serio całą tę telewizyjną hecę, tak jak zdaniem Nate’a powinieneś ją traktować, może przydać

ci się przyzwoity materiał filmowy na temat tajemniczych światel.

— Zakładając, że są w ogóle jakieś światła do sfilmowania.

— Przeprowadzisz rekonesans i dasz mi znać. Zarezerwuję miejsce w moim terminarzu.

— Nawet jeśli rzeczywiście są jakieś światła, to temat jest mało znaczący — ostrzegł go Jeremy. — Nikt w telewizji się nim nie zainteresuje.

— W ubiegłym miesiącu może by się nie zainteresował — rzekł Alvin. — Ale po twoim dzisiejszym występie z pewnością się zainteresują. Wiesz, jak to jest w telewizji... wszyscy ci producenci gonią w piętke, próbując znaleźć kolejną bombę. Jeśli GMA nagle podłapuje gorący temat, możesz być pewny, że wkrótce zadzwonią z *Today* i zapukają do twoich drzwi z *Dateline*. Żaden producent nie chce pozostać w tyle, bo wtedy grozi mu, że go zwolnią. Ostatnią rzeczą, jakiej pragną, jest wyjaśnianie kierownictwu, dlaczego przegapili okazję. Wierz mi... pracuję w telewizji. Znam tych ludzi.

— On ma rację — powiedział Nate, przerywając im. — Nigdy nie wiadomo, co się zdarzy za chwilę, i może to dobry pomysł, by planować z wyprzedzeniem. Dziś wieczorem zaznaczyłeś swoją obecność. Nie oszukuj się. I jeśli uda ci się zdobyć trochę prawdziwego materiału filmowego o światłach, może to być właśnie ta rzecz, której potrzebują GMA lub *Primetime*, by podjąć decyzję.

Jeremy popatrzył przez zmrużone oczy na swego agenta.

— Mówisz serio? Przecież to żaden temat. Zdecydowałem się nim zająć, ponieważ musiałem złapać trochę oddechu po Clausenie. Ta sprawa zabrała mi cztery miesiące.

— A popatrz tylko, co zyskałeś — rzekł Nate, kładąc mu dłoń na ramieniu. — Być może jest to błahostka, ale z dobrym materiałem filmowym oraz uzupełniającą historyjką, kto wie, co pomyślą o tym w telewizji?

Jeremy milczał przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

— Dobra — zgodził się. Spojrzał na Alvina. — Wyjeżdżam we wtorek. Zorientuj się, czy dasz radę przyjechać w przyszły piątek. Zadzwoń do ciebie wcześniej i podam szczegóły.

Alvin sięgnął po piwo i upił łyk.

— O kurczę — powiedział, naśladując Gomera Pyle'a — jadę do krainy mamałygi i flaków. I obiecuję, że mój rachunek nie będzie zbyt wysoki.

Jeremy wybuchnął śmiechem.

— Byłeś kiedyś na Południu?

— Nie. A ty?

— W Nowym Orleanie i Atlancie — przyznał Jeremy. — Ale to duże miasta, a duże miasta są wszędzie właściwie takie same. My natomiast jedziemy na prawdziwe Południe. To małe miasteczko w Karolinie Północnej. Nazywa się Boone Creek. Powinieneś obejrzeć jego witrynę internetową. Jest tam mowa o azaliach i dereniach, które kwitną w kwietniu, jak również zamieszczone zdjęcie najznakomitszego obywatela miasta. Facet nazywa się Norwood Jefferson.

— I kim jest? — spytał Alvin.

— Politykiem. Był senatorem stanowym w Karolinie Północnej od tysiąc dziewięćset siódmego do tysiąc dziewięćset szesnastego roku.

— Kogo to obchodzi?

— Właśnie — odparł Jeremy, kiwając głową. Zerknąwszy w drugi kąt baru, zauważył z zawodem, że rudowłosa zniknęła.

— Gdzie dokładnie leży to miasteczko?

— Dokładnie między „tam, gdzie diabeł mówi dobranoc” a „gdzie my właściwie jesteśmy?”. Zatrzymam się w miejscu, które nazywa się Greenleaf Cottages i które Izba Handlowa opisuje jako malownicze i sielskie, lecz nowoczesne. Cokolwiek to oznacza.

Alvin roześmiał się.

— No to zapowiada się chyba niezła przygoda.

— Nie martw się o to. Jestem pewien, że będziesz tam doskonale pasował.

— Tak myślisz?

Jeremy zmierzył znaczącym spojrzeniem skórę, tatuaże i kolczyki.

— Och, zdecydowanie — zapewnił przyjaciela. — Przypuszczam, że zechcą cię zaadoptować.